

Marianny Sankiewicz inżynieria kształcenia



Na trzecim spotkaniu powiedziała:

- *Pan bardzo dobrze zdał egzamin wstępny z matematyki, ale po pierwszym roku wziął pan urlop dziekański, właśnie przez matematykę...*

- *Pani Profesor to pamięta?* – osłupiałem. – *Przecież to było ponad czterdzieści lat temu...*

- *Im dłużej teraz z panem rozmawiam, tym więcej faktów dotyczących pana osoby przypomina mi się. Pamiętam też, że byłam w komisji, kiedy bronił pan pracę dyplomową. U profesora Jagodzińskiego...*

Tak było. Panią doc. dr inż. Marianę Sankiewicz oczywiście pamiętam z okresu studiów. Była prodziekanem i choć nie miałem z Nią żadnych zajęć ni potyczek, to Jej osobowość przykuwała uwagę. Poważna, ale z pogodnym uśmiechem na ustach, rzeczowa, konkretna, ale przyjazna, miła, ciepła. Wzbudzała we mnie zaufanie, ale i respekt. Nie miałem pojęcia, że kwestia mojego urlopu dziekańskiego po pierwszym roku rozstrzygała się wtedy między Nią a mgr Martą Gałuszką, wykładającą nam matematykę.

- *Marta była osobą pryncypialną, ale wnikliwie przyglądała się studentom i oceniała ich sprawiedliwie. Przekonywała mnie, że warto panu dać urlop...*

Dziekanka po pierwszym roku to nie był standard. Nie wiem co zaważyło na opinii pani magister...

Do egzaminu poprawkowego z matematyki podchodziłem jeszcze w czerwcu. Pisemny zdałem, choć pewnie słabo. Na ustnym otrzymałem na kartce trzy pytania; nie pamiętam ich treści, ale musiały być dla mnie w tym momencie za trudne... Pamiętam natomiast doskonale końcową rozmowę z panią magister.

- *Mam wrażenie – mówiła pani Marta Gałuszka – że jest pan znudzony nauką, zmęczony... Nie chce pan odpocząć? Proponuje panu urlop dziekański...*

Choć nie byłem przygotowany na taką propozycję, choć miałem jeszcze możliwość przystąpienia do egzaminu komisyjnego we wrześniu i ponad dwa miesiące czasu na przygotowanie, to bez namysłu zgodziłem się.. Skąd pani magister wiedziała, że byłem wtedy pochłonięty muzykowaniem, próbami literackimi, że rozumiałem już, iż elektronika nie wypełni mi życia, nie zaspokoi ciekawości świata?

Nie mogła wiedzieć... Ale wyczuwała!

Przez pół roku, z mądrej woli mojego ojca, pracowałem jako robotnik. Dojrzałem. Rodzicom obiecałem, że teraz już studia skończę bez niespodzianek. Z panią magister Gałuszką spotkaliśmy się po roku; zdałem bez problemów. Słowa danego rodzicom też dotrzymałem.

Przytaczam tu moją historię, bo potwierdza ona wieloletnią obserwację pani docent Marianny Sankiewicz:

- *Chłopcy przychodzą na studia mniej dojrzały niż dziewczęta. Dziewczyny na pierwszym roku są już kobietami; są rozwinięte biologicznie i mentalnie. Chłopcy dopiero na drugim, trzecim roku stają się mężczyznami. Wcześniej wymagają bacznej uwagi i życzliwej pomocy. Jedni mają kompleksy, inni kłopoty z adaptacją w nowym środowisku, jeszcze inni bywają oszołomieni formalną dorosłością, a niektórzy po*

*prostu mają jeszcze pstro w głowie... Do tego dochodzi powszechny na ogół problem wyrównywania poziomu wiedzy wyniesionej ze szkoły średniej i przystosowywania się do form przekazywania wiedzy w uczelni, do zamiany szkolnych lekcji na wykłady, ćwiczenia czy laboratoria. Młodym ludziom trzeba się w tym okresie życzliwie przyglądać i pomagać przezwycięzać trudności, bo mogą narobić głupstw i pokrećć sobie życiową drogę...*



Styczeń 1946 roku. Panna Marianna w Gdańsku.

Doc. dr inż. Marianna Sankiewicz pracuje z młodzieżą akademicką ponad 60 lat. W różnych rolach: nauczyciela, opiekuna, prodziekana i prorektora. W życiu prywatnym nie jest matką, choć wychowała od dziecka Anetkę, córkę przyjaciół, osieroconą w czasie wojny; doprowadziła ją do ukończenia studiów wyższych i założenia własnej rodziny. W kontaktach ze studentami była więc nie tylko dydaktykiem i etatowym wychowawcą, ale umiała przenosić na nie ciepło domowego ogniska rodzinnego. Wielu absolwentów Politechniki Gdańskiej, szczególnie elektronik, do dziś nazywa ją "ciocią", a w określeniu tym jest potężny bagaż ciepła i wdzięczności. Ona też wielu z nich doskonale pamięta i z satysfakcją wspomina. Z licznymi utrzymuje bieżący kontakt. Od

niektórych otrzymuje pomoc wtedy, kiedy... organizuje ją dla współcześnie studiujących.

W licznych publikacjach wydziałowych można przeczytać życiorys pani Profesor, dokumentujący nade wszystko Jej dokonania zawodowe.

Sformułowania suche, rzeczowe, skromne, pozbawione przymiotników, grubą kreską rysujące sylwetkę Uczonej. Prawdziwe, ale jakże niepełne. Może nie bez znaczenia jest tu fakt, że redaktorem wszystkich znanych mi wydziałowych publikacji okolicznościowych jest właśnie Marianna Sankiewicz. Może stąd ta powściągliwość, skromność, oszczędność słów. Ale inżynierska konkretność i towarzyszący jej chłód są cechą wielu innych publikacji uczelnianych tego typu.

Co wiemy o naszych nauczycielach, wychowawcach, opiekunach, mistrzach? Dlaczego niektórzy w sposób znaczny odcisnęli swoje piętno na naszych życiowych postawach, drogowskazach, wyborach? Dlaczego byli tacy, jacy byli?

Człowieka kształtuje dom rodzinny, wyniesione zeń wartości, a potem doświadczenia życiowe i wnioski z nich płynące. Idąc na pierwszą rozmowę z panią Profesor założyłem sobie, że uzupełnię swoją wiedzę o tym jaką była, ale postaram się też dowiedzieć dlaczego taką była? Skąd w Niej tyle cierpliwości, determinacji i życzliwości w kontaktach z młodzieżą? Skąd tyle zrozumienia dla słabości i problemów młodych ludzi oraz woli towarzyszenia im na trudnych odcinkach akademickiej drogi?

Jest wiosna 2006 roku. Z inicjatywy dziekana Wydziału ETI spotykamy się w sali Rady Wydziału. Wystrój konferencyjny: stoły ustawione w podkowę, ekran, rzutnik. Na tylniej ścianie portrety osobistości, które w historii Wydziału odegrały rolę szczególną: profesorowie Paweł Szulkin, Łukasz Dorosz, Józef Lenkowski, Jerzy Seidler, Józef Sałaciński, Krzysztof Grabowski i inni. Jest też fotografia prof. Janusza

Groszkowskiego, postaci wybitnej w historii polskiej elektroniki, który i w życiorysie pani Profesor odegrał znaczącą rolę: był promotorem Jej pracy doktorskiej.

*“Urodzona w r. 1921, w Przerośli, na Suwalszczyźnie, wywieziona podczas wojny przez władze okupacyjne do Niemiec i tam więziona...”* - czytam pierwsze zdanie Jej życiorysu, zamieszczonego w wydziałowej publikacji okolicznościowej z okazji jubileuszu 50-lecia Wydziału.

Prawie ćwierć wieku bodaj najważniejszego okresu kształtowania młodego człowieka w jednym zdaniu...

Udaje mi się namówić panią Profesor do wspomnień.

*- Moi dziadkowie posiadali majątki ziemskie na wileńszczyźnie – opowiada. - Rodzice kształcili się w Petersburgu, w szkołach dla dzieci z tzw. dobrych domów. Kiedy wybuchła zawierucha rewolucyjna, dziadkowie utracili majątki, a rodzice wyjechali do Polski. Osiedli na Suwalszczyźnie. Ja urodziłam się w pięknej miejscowości – Przerośl. Rodzice prowadzili schronisko turystyczne nad Wigrami. W naszym domu zawsze byli jacyś obcy ludzie – podopieczni. A to jakaś sierota, jakiś Kozak był przechowywany, jakiś człowiek, który potrzebował pomocy. Miałam dwie siostry, wcześniej dwoje rodzeństwa umarło. Jedna z siostr skończyła studia medyczne, druga wydział chemii na politechnice. Tato zmarł wcześniej, w 1936 roku. Wychowywałam się w oparciu o dekalog, kształtowano we mnie wrażliwość na sprawiedliwość społeczną, na krzywdę innych ludzi, motywowano do niesienia im pomocy. Kończyłam szkołę powszechną i gimnazjum im. Marii Konopnickiej w Suwałkach. W gimnazjum żeńskim miałam wspaniałych profesorów. Większość była po Uniwersytecie Jagiellońskim, z doktoratami, łącznie z panią od gimnastyki. Pamiętam nazwisko pani dyrektor – Maria Ropelewska. Szkoła miała regulamin na dzisiejsze czasy zakonny. Było powiedziane, kiedy mamy nosić buty sznurowane, a kiedy z cholewkami, kiedy w jakich strojach. Było to wszystko sprawdzane przy wejściu do szkoły, gdzie stała nauczycielka dyżurna. Stał tam też kosz, do którego wszystkie dziewczyny składały swoje drugie śniadania. Na dużej przerwie kosz wjeżdżał na salę i każda brała pierwszą lepszą kanapkę. Dzieci pochodziły z rodzin o zróżnicowanym statusie materialnym, więc i kanapki były różnej jakości. Przy śniadaniu wszystkie byłyśmy równe. To było bardzo mądre i pouczające. Nasi nauczyciele to były wzorce nie tylko pod względem wiedzy, ale również postawy społecznej, moralności. Byłam ulubienicą matematyki, organizowałam kółko matematyczne. W gimnazjum uczono nas języków obcych: łacina, niemiecki, rosyjski. Należałam do harcerstwa, to też bardzo ważna szkoła życia.*

Miała 18 lat, kiedy usłyszała pomruki zbliżającej się wojny. Mama wysłała Ją do swojej siostry do Starogardu Gdańskiego, bo ta była chora, dzieci wymagały opieki, a wujka, lekarza, zmobilizowano do wojska. Nie była tam długo. Ze Starogardu ewakuowano ich do Wilna. Tam też, po zakończeniu działań wrześniowych, ukrywał się wujek. Na wschód wywiezione też zostały mama i siostry.

Co czekało Ją w Wilnie? Zarabkowała roznoszeniem gazety – “Głosu Wileńskiego”. Chwaliła sobie tę pracę. Wstawiała raniutko, ale i wcześniej kończyła. Miała czas na inne zajęcia. Była ambitna. Chodziła do instytutu języków obcych: niemiecki, angielski, hiszpański, francuski. Zasmakowała w języku niemieckim, bo lektor fantastycznie prowadził lekcje. Uczyła Litwinów polskiego. Tam nawiązała też

kontakt z miejscową strukturą organizacji harcerskiej.

Pamięta wiosenną powódź w Wilnie, a potem epidemię tyfusu. Też padła jej ofiarą. Leżała w szpitalu, ludzie umierali jak muchy. Była w stanie ciężkim, tak beznadziejnym, że ulokowano już Ją w... kostnicy. Ocalała, bo wyniósł ją stamtąd sanitariusz. Wracała powoli do sił, a tymczasem w czerwcu 1941 Wilno zajęli Niemcy.

Musiała zarabiać na życie swoje oraz ciotki i dwojga jej dzieci, więc podjęła pracę w Soldatenheimie, kantine dla żołnierzy niemieckich, w zajęтым przez okupanta lokalu kawiarni Strahla. Obsługa była "ekskluzywna", czyli złożona przeważnie z wykształconych Polaków. Miewała tam okazje, aby zbierać informacje, którymi interesowała się organizacja harcerska. Do baru przychodzili również żołnierze hiszpańscy. Poznała Antonia; miał do niej szczególny sentyment, który wkrótce okazał się pomocny.

Polacy byli w Wilnie na prawach uciekinierów. Litwini odnosili się do przybyszów różnie. Na żądanie Niemców, w 1942 roku zrobili listę Polaków przewidzianych do wywozu na roboty. Znalazło się na niej nazwisko Marianny Sankiewicz. Szóstego czerwca sformowano transport dla 2000 osób, w tym 600 więźniów z więzienia na Łukiszkach.

*- Z wileńskiej organizacji harcerskiej otrzymałam polecenie zaopiekowania się trzema młodymi Żydówkami wywozonymi tym transportem – wspomina pani Profesor. - Na robotach w Niemczech miały większą szansę ocalenia. Musiałam zawsze być blisko nich, żeby wyręczać je w rozmowach z Niemcami. Ponieważ jechałam w mundurku harcerskim - byłam zauważalna. Pewnie dlatego na stacji kolejowej w Wilnie wypatrzył mnie... Antonio, poznany w Soldatenheimie Hiszpan, teraz paradujący w mundurze niemieckim. Wiedziałam, że więźniowie z Łukiszek byli bardzo wygłodzeni. Na moją prośbę Antonio skrycie przywiózł im skrzynię bułek, a mnie... bukiet róż. Chciał też wydobyć mnie z transportu, ale się nie zgodziłam. Jechaliśmy dwa tygodnie. Trafiliśmy do Hammersteinu - obozu jeńców wojennych - Stalag II B. Tam byli przetrzymywani Francuzi, Amerykanie, Jugosłowianie i Rosjanie, w sumie ok. 40 tys. żołnierzy. W obozie byliśmy dwa tygodnie, mieszkając w barakach, na pryczach, na których, w koszmarnych warunkach bytowali przedtem jeńcy radzieccy. Tam przemyciłam do naszej grupy trzech jeńców francuskich, organizując im cywilne ubrania. Co najważniejsze; poprzez jeńca-Polaka, wziętego do niewoli we Francji, nawiązałam kontakt z organizacją konspiracyjną, działającą na terenie obozu.*

Wkrótce potem transport dotarł do Szczecina. Miała pod opieką owe trzy Żydówki i trzech przebranych jeńców francuskich. Stres, stres, stres. Podzielono ludzi na grupy. Część skierowano do pracy na wieś, w tym podopieczne dziewczyny. Panna Marianna pozostała początkowo w Szczecinie, gdzie pracowała przy sprzątaniu ulic. Była wątła, wyczerpana, bez włosów, które jeszcze nie odrosły po tyfusie. Później przewieziono ją do Greifenhagen, skąd została przydzielona do obsługi domu dla starców (Altersheim) w Roderbeck - wraz z kilkoma Polkami i Rosjanami oraz jeńcami francuskimi. W Roderbecku udało się jej ponownie nawiązać kontakt z Hammersteinem i tamtejszą organizacją konspiracyjną. Na polecenie tej organizacji zbierała informacje istotne dla alianckiego wywiadu wojskowego. Szefową Altersheimu, Niemkę, uprosiła o przepustki na wyjazd do Hammersteinu. Tam przekazywała informacje, a stamtąd w "podzięce" za przepustki, przywoziła papierosy,

czekoladę i kawę (z jenieckich paczek UNNRA).

- 20 kwietnia 1943 r. - przypomina pani Profesor - *Niemcy obchodzili urodziny Hitlera. Dali nam wolne popołudnie. Nie chcieliśmy świętować z tej okazji, o czym powiadomiłam niemieckich nadzorców. Byli zbulwersowani. Dziesięć dni później przypadał dzień pierwszego maja. Chcieliśmy świętować, bo jesteśmy przecież robotnikami. Nie tylko nie usłyszałam przyzwolenia, ale trafiłam do aresztu. Trzy doby przesiedziałam w baszcie, a potem trafiłam do więzienia w Szczecinie. Okazało się w czasie śledztwa, że Niemcy mieli kopie mojej korespondencji prywatnej. Najpierw postawili zarzut szpiegostwa. Byłam zagrożona śmiercią. Potem jakoś się z tego wywinęłam. To był rok 1943.*

Koniec stycznia 1945 roku. Marianna Sankiewicz znowu jest w Roderbeck, w obozie pracy. Prowadzi nasłuchy radiowe. Przekazuje wiadomości. Zbliża się front radziecki. Drugiego lutego do Roderbecku wkracza pierwszy oddział Armii Czerwonej.

Wyzwolenie? Wolność? Nadzieja.

Niestety, koszmaru nastąpił ciąg dalszy...

Zaraz po zajęciu Altersheimu kilku Rosjan zamknęło pięć dziewczyn w pomieszczeniu. Sytuacja była jednoznaczna. Wołodia miał na imię ten, którego ruszyło sumienie, kiedy zrozpaczone, zapłakane dziewczyny błagały o pomoc. Wyszedł i zawiadomił dowództwo, że żołnierze weszli do pomieszczenia, choć zabraniał tego (ze względu na bezpieczeństwo wojskowych) rozkaz przełożonych. Wkrótce zjawił się oficer i poskromił rozjuszonych żołnierzy. Uratowane dziewczyny natychmiast uciekły do baraku Francuzów. Stamtąd, po paru godzinach, trzeciego lutego, pod osłoną nocy, grupa Polek, Rosjanek, Francuzów i Rosjan opuściła swoje miejsca pracy, udając się na wschód, w kierunku frontu.

Po pewnym czasie napotykają na kolejny oddział armii radzieckiej. Czego się teraz spodziewać?

- *To był jeden z najstraszniejszych epizodów w moim życiu – opowiada pani Profesor. - Najpierw oficerowie przepytawali kim jesteśmy. Idącego z nami Rosjanina uznali za winnego poddania się do niewoli niemieckiej. Na moich oczach powiedli go na pole i zastrzelili. A ty kto? - mówią do mnie. Mówisz trzema obcymi językami ! I sami odpowiadają: szpion. Rozstrzelać! - słyszę. I też wyprowadzają mnie na pole. W tym momencie stał się cud... Nadlatują alianckie samoloty, zrzucają grad bomb. Uskoczyłam w bok, wyznaczony do egzekucji żołnierz też padł na ziemię, nie zdążył strzelić. Podniosłam się i pobiegłam w kierunku lasu. Ocalałam.*

W lesie natknęła się na dom, weszła, a tam byli już znajomi Francuzi i Polki. Im też aliancki nalot umożliwił ucieczkę. Postanowili iść dalej w kierunku Polski. Wyszli o świcie. Po pewnym czasie znowu trafili na wojska radzieckie. Opustoszałe miasteczko nazywało się Bärwalde. Mieścił się tu lazaret radzieckich żołnierzy. Grupę uciekinierów zatrzymano i skierowano do różnych prac. Pani Mariannie, po raz kolejny w czasie wojny, przyszło służyć swoją znajomością języków. Sześciu funkcjonariuszy NKWD przesłuchiwało pojmanych oficerów niemieckich, ona musiała tłumaczyć.

- *Szóstego dnia jeden z przesłuchujących oficerów (Sybirak) – opowiada pani Sankiewicz - powiedział mi w tajemnicy, że jutro będę musiała z ich oddziałem, jako*

*tłumacz, pojechać na Berlin, więc powinnam uciec... Tej nocy drzwi naszego lokum, które zawsze były zamykane, zostawił otwarte. Skorzystałam z jego rady i uciekłam do grupy moich koleżanek, pracujących na punkcie opatrunkowym.*

Rankiem grupa uciekinierek - Polek obrała kierunek na Warszawę. Pierwsze kilometry przemierzały pieszo, słychać było odgłosy wystrzałów. Potem trafiły na jakiś transport radziecki, który zmierzał na wschód. Skorzystały z przyzwolenia żołnierzy. Potem znowu wiele kilometrów pieszo. Dwudziestego lutego dotarły do Kutna. Tu wypatrzyły wojskowy transport kolejowy, który miał się poruszać w kierunku stolicy. Ukryte pod przewożonymi czołgami, dojechały aż do Miłosny. Tu dopiero pociąg zatrzymał się, więc wyskoczyły. Cel tułaczki był tuż, tuż. Osiągnęły go pieszo.

Na gruzowisku Warszawy stanęły jeszcze tegoż dnia. Marianna Sankiewicz miała wtedy 24 lata. Kończył się trzyletni okres Jej obozowej poniewierki.

Również tego samego dnia, 20 lutego 1945 roku znalazły się na Pradze. Jedna z współtowarzyszek niedoli spotkała na ulicy swojego ojca. Po krótkiej rozmowie okazało się, że jest możliwość podjęcia pracy w Polskim Radiu.

23 lutego przekroczyła progi tej instytucji, przy ul. Targowej 63, na Pradze. Trafiła przed oblicze Pawła Szulkinia, dyrektora technicznego Polskiego Radia. Od słowa do słowa i pani Marianna usłyszała propozycję podjęcia pracy w tej firmie. To zaproszenie przesądziło o jej dalszych zawodowych losach.



Lata czterdzieste. Studentka Marianna Sankiewicz w wydziałowej kreślarni.

Rozpoczęło się nowe życie.

*- W Warszawie nie pracowałam długo, bo we wrześniu, na moją prośbę, skierowano mnie do powstającej rozgłośni w Gdańsku – wspomina pani Profesor. - Niebawem inaugurowała tu działalność Politechnika Gdańska. Równoległe z pracą rozpoczęłam studia na Wydziale Elektrycznym. W Gdańsku pojawia się profesor Szulkin. Zostaje kierownikiem Katedry Radiotechniki i prowadzi sekcję dydaktyczną o tym kierunku.*

To myśli i działaniom prof. Pawła Szulkinia zawdzięcza Politechnika powstanie kierunku elektroniki. Choć formalnie Wydział Łączności powstał w 1952 roku, czyli w czasie, w którym profesor przeniósł się już do Warszawy, to właśnie on, jako dydaktyk, badacz i promotor młodych kadr naukowych w latach 1945 – 1952 oraz jako rektor uczelni w okresie 1950-1951, był rzecznikiem wyodrębnienia z Wydziału Elektrycznego sekcji słaboprądowej i powołania samodzielnej struktury organizacyjnej. Jego starania doprowadziły też do wybudowania pierwszej samodzielnej siedziby Wydziału Łączności (dobudówka do gmachu Wydziału Elektrycznego).

Marianna Sankiewicz miała okazję poznać profesora i współpracować z nim blisko. Najpierw długie rozmowy w stołówce pracowników Polskiego Radia w Warszawie, gdzie szeregowi pracownicy i dyrektorzy spotykali się przy tzw. zupie regeneracyjnej i pajdzie chleba. Również współpraca przy uruchamianiu radiostacji w Raszynie. W Gdańsku stała się jego studentką, ale już na pierwszym roku studiów została zaangażowana do organizowania laboratoriów radiotechnicznych. Jeździła

więc po jednostkach wojskowych, z których profesor – wtedy w randze podpułkownika Wojska Polskiego - nieodpłatnie “załatwiał” udostępnienie potrzebnego na PG sprzętu, i była odpowiedzialna za kompletowanie dokumentacji technicznej urządzeń oraz inwentaryzowanie ich. Jako pracownica Polskiego Radia, współpracowała z profesorem przy opracowywaniu bardzo wtedy potrzebnych skryptów szkoleniowych dla personelu technicznego rozgłośni radiowych. Pod kierunkiem prof. Szulkina obroniła w 1950 roku swoją pracę magisterską. Jego trudnym kolejom losu poświęciła esej w publikacji pt. “Pionierzy”, wydanej z okazji 100-lecia Politechniki w Gdańsku i 60-lecia Politechniki Gdańskiej. Świadectwem Jej wdzięcznej pamięci o profesorze jest inicjatywa i zorganizowanie umieszczenia na grobie prof. Szulkina w Paryżu (na Cmentarzu Père Lachaise) tablicy nagrobnej, przypominającej m.in. jego związki z Politechniką Gdańską.



Marianna Sankiewicz z otrzymaną od losu córką Anetką, w czasie letnich wakacji. (1951)

W czasie studiów poznała Gustawa Budzyńskiego, późniejszego męża i towarzysza życia oraz pracy zawodowej. Przedwojennego studenta Politechniki Warszawskiej, uczestnika Powstania Warszawskiego i oficera AK. Rówieśnika, który - ze względu na wojenne losy – rozpoczął studia na Wydziale Elektrycznym PG dopiero w 1946 roku. Nie skończył ich w terminie, bo za działalność w AK i WiN został skazany na długoletnie więzienie. Opuścił je po siedmiu latach, w roku 1955, a magisterski dyplom uzyskał w 1959 r., już na Wydziale Łączności PG.

Po uzyskaniu dyplomu magister Marianna Sankiewicz nie traci kontaktu z uczelnią. Ale głównym polem jej działania jest rozgłośnia Polskiego Radia w Gdańsku. Jest tzw. inżynierem ruchu, czyli odpowiada za techniczną stronę funkcjonowania stacji. Szkoli personel, zdobywa sprzęt, przygotowuje dziennikarzy do pracy z mikrofonem. Jeździ do rozgłośni w Koszalinie, Olsztynie, Szczecinie, gdzie prowadzi wykłady dla techników. Ma kontakt z bieżącą technologią radiowa i później telewizyjną.

*- Radio pozwalało gromadzić obserwacje i doświadczenia praktyczne, które przenosiłam do uczelni – powie po latach. - W laboratorium uczelnianym szukałam możliwości rozwiązania pojawiających się problemów. Tak było przez cały okres mojej kariery naukowej.*

Bogatsza o doświadczenia praktyczne, w 1952 roku uzyskuje etat w Politechnice i staje przed studentami. Ma 31 lat i za sobą trudną młodość. Rozpoczyna się półwiecze, też nie wolne od trudności i kłopotów, ale obfitujące w dokonania naukowe i organizacyjne, we wdzięczność i sympatię kilku pokoleń studentów, w uznanie środowiska radiowców oraz specjalistów zagranicznych. Najpierw jest starszym asystentem w Katedrze Radiotechniki Nadawczej na Wydziale Łączności. Od 1958 roku pracuje jako adiunkt, a następnie wykładowca oraz starszy wykładowca w Katedrze Radiokomunikacji.

Pasjonuje się techniką radiową i tego rodzaju zainteresowania zaszczenia studentom. Wie, że postępująca technologia powoduje, iż rozgłośnie radiowe i stacje telewizyjne potrzebują fachowców, specjalistów potrafiących wdrażać nowe

rozwiązania. Prowadzi badania problemów akustyki, w zakresie częstotliwości słyszalnych, od 1950 roku zaniechane na PG. W roku 1966 – już na Wydziale Elektroniki, w łonie Zakładu Hydroakustyki i Elektrofonii, kierowanym przez profesora Zenona Jagodzińskiego - organizuje Pracownię Elektrofonii i uruchamia specjalizację dydaktyczną elektrofonii, później nazwaną Inżynieria Dźwięku. Współpracuje z prof. Januszem Groszkowskim, wybitnym autorytetem i specjalistą z dziedziny radiotechniki, członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk i przez wiele lat jej prezesem. Pod jego kierunkiem przygotowuje pracę doktorską na temat “Opór ujemny opornościowo stabilny”, którą broni w 1968 roku. Od 1970 roku uzyskuje etat docenta.



Koniec lat sześćdziesiątych... Taką panią Profesor pamiętam z “moich” czasów.

Ale Marianna Sankiewicz nie jest stworzona tylko do pracy w zaciszu laboratoryjnym, czy nawet – już nie tak spokojnej – sali dydaktycznej. Jej energia, umiejętności organizatorskie i życzliwość dla ludzi były zauważalne dla otoczenia. W 1960 roku zostaje powołana po raz pierwszy na stanowisko prodziekana Wydziału do spraw studenckich. W kolejnych latach ta nominacja zostanie powtórzona jeszcze pięć razy. W sumie sześć kadencji i siedemnaście lat poświęca pracy w roli prodziekana. Pod koniec lat siedemdziesiątych, z Jej inicjatywy, połączono stanowiska prodziekanów ds. studenckich i ds. nauczania, nominując jednego prodziekana ds. kształcenia.

*- Przekazywanie wiedzy i wychowywanie w uczelni to procesy, które przebiegają równocześnie i wzajemnie się przenikają – tłumaczy pani Profesor. - Uczelnia kształci, przygotowuje młodego człowieka do życia zawodowego i społecznego. Dlatego uważałam i uważam, że piecza nad tym procesem powinna być w jednych rękach.*

Ta inicjatywa przyjęła się w całej uczelni.

W odpowiedzialnej roli prodziekana współuczestniczyła w niezwykle dynamicznym rozwoju Wydziału w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. W tym okresie Wydział uzyskuje prawo doktoryzowania (1965 r.), potem habilitowania (1975 r.), następuje zwielokrotnienie liczby samodzielnych pracowników nauki oraz rekrutowanych na studia słuchaczy. Powstaje nowy, przestronny gmach Wydziału. Coraz więcej osób otrzymuje dyplomy magisterskie i inżynierskie – w 1960 roku wypromowano 67 magistrów, zaś piętnaście lat później już ponad 200 magistrów i ponad 60 inżynierów elektroników różnych specjalności.

Jako prodziekan, w latach siedemdziesiątych na Wydziale Elektroniki PG zorganizowała wykłady z przedmiotów humanistycznych. “Spotkania z Muzyką” i “Spotkania z Architekturą”. Tak jak to praktykuje się na uczelniach zagranicznych. Ciekawe wykłady z tego rodzaju dziedzin rozwijają osobowości i horyzonty przyszłych inżynierów. Cieszyły się one dużym zainteresowaniem studentów różnych wydziałów Politechniki. Ale wśród dobrowolnych słuchaczy znajdowali się też studenci Uniwersytetu Gdańskiego, Akademii Muzycznej i Akademii Medycznej. Dla studiujących Inżynierię Dźwięku zajęcia te były obowiązkowe.

W końcu lat sześćdziesiątych wprowadziła też zwyczaj uroczystego rozdawania



dypłomów magisterskich. To działa na emocje, podkreśla rangę dyplomu – tak uważała. Niektórzy początkowo kpili sobie z tego pomysłu. Ale przyjęło się. Absolwenci sympatycznie wspominają tę uroczystość. Ja do nich należę, bo w 1969 roku też odbierałem dyplom w auli, w uroczystej oprawie. Było to również pamiętne przeżycie dla członków rodzin dyplomantów, z których część była w murach Politechniki po raz pierwszy i ostatni. Najbardziej jednak cieszyli się absolwenci z lat siedemdziesiątych, których zaraz po obronie pracy dyplomowej wcielano na rok do wojska. Uroczystość była bowiem okazją do uzyskania krótkiej przepustki i “wyskoczenia” z munduru.

Za Jej kadencji utrwalił się jeszcze jeden zwyczaj: informowanie szkół średnich o wynikach egzaminów wstępnych ich absolwentów. Szkoły, szczególnie te lepsze, uznawały gest Politechniki za sympatyczny, zaś dla wszystkich odbiorców mogły to być informacje mobilizujące.

*- Pełniąc funkcję prodziekana, a potem prorektora – mówi pani Profesor - miałam jeden cel: chciałam młodym ludziom pomóc skończyć podjęte studia. Nasz Wydział stawiał kandydatom bardzo wysokie wymagania. Ubiegający się o indeks mogli zdobyć maksymalnie 32 punkty, zaś ilość zainteresowanych studiami na Wydziale była tak duża, że limit miejsc obsadzali tylko ci, którzy uzyskali nie mniej niż 29 punktów. Odpadali więc ludzie zdolni, ciekawi; rekomendowałam ich na inne wydziały, które miały słabszą obsadę. Różni ludzie przychodzili. Na ogół połowa rekrutowała się z Trójmiasta, a druga połowa z miast, miasteczek i wsi z całej Polski. Różne przygotowanie, różna kultura, różny poziom mentalny. Młodzież zamiejscowa przychodziła zwykle na uczelnię z ogromnym bagażem kompleksów, które ujawniały się na zajęciach i w akademiku. Zastanawiałam się jak im pomóc w adaptacji, w pozbyciu się psychicznych obciążeń. Trzeba było dobrać sposób komunikowania się z nimi i wyrównać poziom wiedzy. Dotyczyło to również studentów zagranicznych z Azji, Ameryki Południowej i Afryki.*

Już na początku lat sześćdziesiątych uświadomiła sobie, że znacznie łatwiej i skuteczniej można by oddziaływać na młodzież, gdyby możliwie wszyscy studenci Wydziału zamieszkiwali w jednym akademiku. Pomysł zyskiwał zwolenników, ale dopiero po kilku latach DS 9 stał się wyłącznie domem elektroników.

Profesor wspomina Jana Repińskiego, pierwszego szefa Rady Mieszkańców w zintegrowanej społeczności elektroników. Zuch. To on zorganizował chłopców do wielkiej pracy społecznej dla wspólnego dobra. Sami remontowali zdewastowane przez poprzedników pomieszczenia, czyścili stare łóżka, meble, wymieniali prysznice. Społecznie organizowali pomoc naukową kolegom z pierwszego roku. Pani Dziekan załatwiła bezpłatne korzystanie z basenu PG w godzinach wieczornych. W DS działały komisje organizujące imprezy kulturalne, sportowe i rozrywkowe. Działał klub “Elka”. Nic dziwnego, że porządek i organizacja w DS 9 zyskiwały uznanie. W okresie siedmiu kolejnych lat akademik elektroników zajmował I miejsce w ogólnopolskim konkursie na najlepszy DS. Nagrodą były m.in. pieniądze, które wydawano na polepszanie warunków zamieszkiwania: wymianę mebli (piętrowe łóżka zastąpiono wtedy pojedynczymi; wyrzucono też słomiane materace), telefonizację sal, zakup telewizorów kolorowych itp.

*- W pamiętnym grudniu 1970 – wspomina Marianna Sankiewicz – gdańscy*

*stoczniowcy przyszli pod akademik i namawiali studentów do udziału w protestach. Okropnie bałam się o bezpieczeństwo mojej młodzieży. Na szczęście w tym samym czasie przyjechał właśnie transport zamówionych do DS 9 mebli. Udało mi się przekonać stoczniowców, że studenci są potrzebni do wyładunku. Ale prawdziwa trwoga ogarnęła mnie kilka dni później. W dniu, gdy na ulicach Gdańska lała się krew, otrzymałam w nocy wiadomość, że w akademiku brakuje jednego studenta. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Zaczęliśmy poszukiwania: milicja, szpitale, areszt. Trwało to kilka godzin. Wreszcie zadzwoniliśmy do rodziców, do Braniewa, aby powiadomić ich o losie syna. Okazało się, że mimo godziny milicyjnej i zakazu opuszczania miejsca zamieszkania, samowolnie i bez opowiedzenia się komukolwiek młodzieniec pojechał do domu rodzinnego. Uznał, jak mówił potem, że tam będzie bardziej bezpieczny...*

W pamięci pani Profesor utrwaliło się wielu studentów. W szczególności tych z akademika, bo z nimi miała intensywniejszy kontakt, często związany z roztrząsaniem ich problemów indywidualnych i grupowych. Pamięta też bohaterów różnych ekscesów, sytuacji zabawnych lub dramatycznych.

Wietnamczycy. W pewnym okresie, w latach siedemdziesiątych, studiowała ich na Elektronice spora grupa. 30 – 40 osób. Dla prodziekana była to społeczność “specjalnej troski”. Słaba znajomość języka polskiego, gorsze przygotowanie do studiów, odmienność kulturowa i mentalna. A do tego indoktrynacja polityczna ze strony wietnamskich “opiekunów”, czyli tamtejszej bezpieki. W jednym z hoteli w Brzeźnie mieszkało ok. 500 wietnamskich pracowników zatrudnionych w stoczniach, których zadaniem była m.in. “opieka”, czyli inwigilacja Wietnamczyków przebywających na Wybrzeżu.

*- Ci chłopcy chcieli się uczyć, załatwiłam im finansowanie przez uczelnię korepetycji – wspomina pani Profesor. - Studia miały dać im szansę na lepsze życie, ale musieli podporządkować się rygorom wymaganym przez “opiekunów”. Nie wolno im było mieszkać w pokojach z Polakami, oglądać telewizji, ubierać się kolorowo. No i wszystko, co mieli do powiedzenia, było na cenzurowanym. Tłumaczyłam, że dla ich dobra (język i pomoc w nauce) studenci powinni mieszkać z Polakami, ale rezultat był mierny. W ich grupie byli donosiciele, którzy na bieżąco informowali “opiekunów” z Brzeźna. Ale i ja miałam swoją “wtyczkę” w tej grupie – nazywał się Thang. Chłopak mi zaufał i informował o wszystkich działaniach “opiekunów”. Funkcjonariusze indoktrynowali studentów, zdarzyło się, że bili, potrafili wykraść niepokornych i odesłać do kopalni w Wietnamie.*

To działo się w końcu lat siedemdziesiątych. 23 grudnia pod DS 9 podjeżdża czarna wołga z ambasady wietnamskiej w Warszawie. Szykuje się draka. Smutni panowie chcą zabrać karnie dwóch studentów. Zagrożeni młodzi zadzwonili po panią prodzikan i ukryli się w pokojach studentów polskich. Docent Sankiewicz przybyła do akademika i wyprosiła przybyszów. Nie zabrali studentów. Poskarżyli się za to władzom twierdząc, że prodzikan zachowywała się niewłaściwie i obraziła naród wietnamski. Wkrótce wezwał Ją rektor, byli też faceci z KC, KW. Rektor i dziekan proponowali podanie się do dymisji...

*- To wszystko nieprawda – powiedziałam wtedy. - To jest szkalowanie uczelni i wydziału. Opowiedziałam jak było: na oczach studentów biją swoich, traktują brutalnie, wywożą z Gdańska ...*

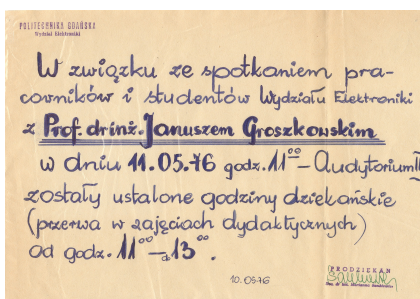
Innym razem porwanie im się udało. Wykradli doktoranta: samochodem zawieźli do Warszawy, potem pociągiem w kierunku Moskwy, a docelowo do Wietnamu. Zdesperowany doktorant wiedział co go czeka, więc... wyskoczył z pociągu. Przeżył. Znaleźli go ludzie i zawiadomili ambasadę wietnamską. Ale kiedy chłopak odzyskał przytomność, to kazał pilnie zatelefonować do pani Sankiewicz. Ta zorganizowała jego przewóz do Gdańska, ukryła. Udało mu się zrobić doktorat, został w Polsce.

Donosiciel, któremu nadano ksywę “Kwadratowy” (ze względu na wygląd), kiedyś rozszyfrował rolę Thanga, który podpadł również tym, że nosił kolorowe koszule i dłuższe nieco włosy. Zresztą grupka studentów wietnamskich, którzy asymilowali się w środowisku rówieśników z Polski i próbowali żyć jak oni, rosła. Tajniacy z Brzeźna ślali alarmujące sygnały do swoich władz. Któregoś dnia w dziekanacie Wydziału zjawili się emisariusze z ambasady wietnamskiej. Choć mieli tłumacza, pani Profesor poprosiła do tłumaczenia właśnie swojego studenta, którym był Thang. Rozmowa była burzliwa, ale w jej wyniku żadnemu ze studentów nic złego się nie stało.

*- Chłopcy dziękowali mi potem za to, że obroniłam ich przed surową władzą – pamięta docent Sankiewicz. – O “Kwadratowym” powiedziałam wtedy przybyszom, że w środowisku jest postrzegany nieprzyjaźnie i nie mogę wziąć odpowiedzialności za jego bezpieczeństwo. To sprawiło, że wkrótce przeniesiono go do Wrocławia. A Tang skończył studia, osiadł w Polsce, ożenił się, prowadzi w Warszawie prywatną firmę. Po latach przywiózł mi ogromny bukiet kwiatów...*

Ale nie zawsze udawało się skutecznie bronić chłopców z Wietnamu przed represjami totalitarnej władzy. Pani Profesor pamięta pewien egzamin dyplomowy.

*- Przyszli “kapusie” z Brzeźna i prosili mnie, żeby nie dopuszczać do egzaminu pewnego studenta wietnamskiego. Zdenerwowałam się, postanowiłam ich przechytrzyć. Przeprosiłam mówiąc, że chwilowo nie mam czasu i kazałam poczekać. Pobiegłam do sali egzaminacyjnej, wraz z komisją przeprowadziłam szybko egzamin tego chłopaka. Potem dopiero zeszłam do “kapusiów”. Słucham panów... Jeszcze raz wyłuszczyli swoją misję. Już jest po dyplomie! – powiedziałam. - Chłopak ukrywał się potem przez jakiś czas, później niestety trafił jednak na dwa lata do kopalni w Wietnamie. Czyścić! Dyplom przesłano mu przez innego dyplomanta. Podziękował mi zań osobiście.*



Ogłoszenie o zaimprovizowanym spotkaniu z prof. Januszem Groszkowskim (przed oficjalną sesją Senatu), na czas którego pani Prodziekan zarządziła przerwę w zajęciach. (1975)

Przechytrzać trzeba było nie raz w owych czasach władze nie tylko wietnamskie. W roku 1975 miało miejsce na Politechnice Gdańskiej uroczyste nadanie godności doktora *honoris causa* profesorowi Januszowi Groszkowskiemu, uczonemu światowej sławy, nazywanemu “ojcem polskiej elektroniki”. Był on, jak już wspomniałem, m.in. także promotorem doktoratu Marianny Sankiewicz. Nic dziwnego, że to właśnie ona zaproponowała Radzie Wydziału wystąpienie z wnioskiem o nadanie tej godności profesorowi. Notabene, był to pierwszy doktorat honorowy nadawany przez Politechnikę Gdańską z

inicjatywy Wydziału Elektroniki. Odpowiednią uchwałę Senat PG podjął 9 kwietnia 1975, a więc Uczelnia, a zwłaszcza Wydział przygotowywały się do uroczystości wręczenia dyplomu i insygniów swemu doktorowi h.c.

*- Oczywiście na mnie, nie tylko z racji pełnienia funkcji prodziekana Wydziału, spoczęły przygotowania organizacyjne do nadchodzącej uroczystości. Nieoczekiwanie otrzymałam pilne polecenie władz centralnych zakazujące organizowania jakiegokolwiek uroczystości z udziałem gości z zewnątrz, wraz z poleceniem wręczenia dyplomu na zamkniętym posiedzeniu Senatu. Powód był jasny. Komitet Centralny postanowił ukarać profesora za wyrażony przezeń wtedy protest przeciwko nieuczciwości i nadużyciom popełnianym przez wysokich funkcjonariuszy partyjno-państwowych. Swoją protest profesor wyraził publicznie, składając rezygnację z pełnionej funkcji w Radzie Państwa i odsyłając nadane mu odznaczenia państwowe PRL.*



Po projekcji filmu profesor Groszkowski odpowiada na pytania pracowników i studentów Wydziału w zapelnionym do ostatniego miejsca Audytorium 2. (1975)

*sytuacji władze poczuły się zmuszone do odstąpienia od zakazu odbycia uroczystości, ale jednak zabroniły ogłaszania o niej i nakazały ścisłą kontrolę składu zaproszonych osób, eliminując udział przedstawicieli prasy, radia i telewizji oraz zakazując nagrywania jej przebiegu. Funkcjonariusze w cywilu czuwali przy wejściu do sali Senatu, aby nikomu nie udało się złamać zakazów. Mimo tych restrykcji udało mi się jednak zorganizować wcześniej profesora ze studentami i w dużym audytorium elektroniki miała miejsce prapremierowa filmu o profesorze osiągnięciach polskiej zrealizowanego i natychmiast... cenzurę. Na szczęście jedną z i "przeszmuglować" do zwłaszcza dyskusje po projekcji podniosłej i wzruszającej częściowo wynagrodziła strony władz.*

Pani Profesor ma młodym ludziom udało Jej się domu rodzinnego przekonanie,

Zareagowała natychmiast.

*- Zawiadomiłam władze, że zaproszenia na uroczystą, otwartą sesję Senatu, w dniu 23 maja 1975 zostały już rozesłane do wszystkich wyższych uczelni technicznych w Polsce i do innych zainteresowanych instytucji naukowych. Była to, rzecz jasna, nieprawda, ale jeszcze tegoż dnia sporządzone i antydatowane zaproszenia poleciłam wyekspediować najszybszymi, jak można było, kanałami do poszczególnych adresatów. W tej*

*tegoż dnia spotkanie pracownikami Wydziału, (nr 2), podczas którego projekcja 45-minutowego Groszkowskim i o elektroniki - filmu świeżo skonfiskowanego przez kopii filmu zdołano ocalić Gdańska. Spotkanie to, a przebiegły w niezwykle atmosferze, która choć profesorowi szykany ze*



Na stopniach przed gmachem głównym, po wyjściu z sesji Senatu, profesor Groszkowski i rektor, profesor Tomasz Biernacki w rozmowie z Marianną Sankiewicz i Gustawem Budzyńskim. (1975)

poczucie, że wielu przekazać wyniesione z że trzeba, że warto

pomagać innym, potrzebującym; bo dla nich to często ratunek, a dla pomagającego satysfakcja i radość. W kręgu Jej oddziaływania wyrosło wielu młodych, którzy na studiach poświęcali czas dla innych, a po wejściu w dorosłe życie, osiągnąwszy sukcesy zawodowe i moc sprawczą na eksponowanych stanowiskach lub we własnych firmach, pomagali i pomagają młodszym rocznikom studentów.

“Telekom” ze Straszyna, “Sprint” z Olsztyna, Pomorska Strefa Ekonomiczna z Sopotu, “Radmor” z Gdyni, a z Gdańska “Micronet”, “SimTel”, “Telechem” “DGT”, “Techno- Service”, “Intech” “Elkor-Holding”, “Telkom-Telmor” i inne. A pod tymi nazwami kryją się wypróbowani społecznicy wydziałowi i uczelniani, wielokrotni sponsorzy: Zdzisław Rybnik, Andrzej Kiszczurno, Wiesław Rybnik, Andrzej Szekalski, Włodzimierz Ziółkowski, Henryk Trzepacz, Andrzej Adler, Marek Antosz, Jerzy Bogdanis, Janusz Czerwiński, Zenon Filipiak, Krzysztof Gadomski, Andrzej Kołtuniak, Jan Mioduski, Bożena Tyszko-Zięba, Konrad Kruszewski, Leszek Zięba, Ryszard Bielawski, Włodzimierz Jażdżyk, Sławomir Kozak, Krzysztof Feldzensztajn, Krzysztof Brzeski, Adam Feldzensztajn, Tomasz Bartoszek, Leszek Pacuła, Grażyna Liszewska-Kozak, Waldemar Kucharski, Marek Illeczo, i wielu innych. To oni wspomagają finansowo przedsięwzięcia pani Profesor, np. kiedy organizuje kolejny wyjazd swoich studentów na zagraniczne konferencje naukowe, laboratoria i warsztaty; ich firmy świadczą darowizny na rzecz Politechniki, z przeznaczeniem na konkretny cel, np. wyjazd studentów. Bo trzeba wiedzieć, że Marianna Sankiewicz od wielu lat – i nawet teraz, kiedy od 1992 roku jest już na emeryturze - ma “zwyczaj” zabierania ze sobą na konferencje zagraniczne studentów. A to Paryż, a to Hamburg, Amsterdam, Berlin, Barcelona, Monachium, Wiedeń, Kopenhaga... W latach dziewięćdziesiątych i później po naukę wyjeżdżały grupy liczne, 30-40 osobowe. Na koszt firm swoich starszych kolegów.

Przyjaciele – tak grono swoich wychowanków nazywa pani Profesor – nie zawodzą nigdy. W żadnej sytuacji. Są otwarci na każdą Jej inicjatywę. A te dotyczą w różnym czasie różnych spraw. Oto w 2001 roku Marianna Sankiewicz wystąpiła wobec rektora PG z inicjatywą zrekonstruowania brakujących na fasadzie gmachu głównego Uczelni lwich głów. Kiedyś było ich sześć, po działaniach wojennych ostała się jedna. Właściwie dwie; tę drugą znalazła w 1945 roku wśród gruzów pani Profesor, i przyczyniła się do jej przechowania. Teraz uznała, że gmach główny, wizytówka uczelni, wymaga odtworzenia jego pierwotnych ozdób.

Rektor, oczywiście, docenił inicjatywę, ale w budżecie uczelni nie było pieniędzy na ten cel. Znowu odwołała się do swoich niezawodnych przyjaciół. Zgromadzili oni środki, pomogli w uruchomieniu skomplikowanego procesu rekonstrukcji ozdób. Dziś wykute w miedzi lwy są gotowe, czekają na zamontowanie. Gotowa jest także tablica informująca o sponsorach tej rekonstrukcji. Zawisnie przy wejściu do gmachu, oddając cześć przyjaciołom. Teraz pani Profesor “zbiera” pieniądze na montaż dumnych lwów. A to – okazuje się – znowu bardzo kosztowna operacja...

W 2004 roku rozmawiałem z grupą byłych działaczy uczelnianych Socjalistycznego Zrzeszenia Studentów Polskich i Zrzeszenia Studentów Polskich. Tematem były lata osiemdziesiąte na uczelni. To Leszek Pacuła powiedział wtedy o pani Profesor: “ciocia”. Przypomnieli to sobie inni. Mówiliśmy o latach

osiemdziesiątych na uczelni.

Ich początek to “wybuch” “Solidarności”. Sierpień 80, stocznia, strajki, napięcie w całym kraju. I ulga: porozumienie! Nadzieja na zmianę systemu, na demokrację, na lepszą przyszłość.



Rektor, profesor Jerzy Doerffer,  
oraz jego ekipa prorektorów.  
Profesorowie: Bolesław  
Mazurkiewicz i Olgierd Gzowski  
oraz Marianna Sankiewicz. (1981)

W 1981 roku w Politechnice, podobnie jak w innych uczelniach kraju, miały miejsce pierwsze po wojnie demokratyczne wybory rektora i prorektorów. Doc. dr inż. Marianna Sankiewicz była jednym z kandydatów do prorektorskich gronostajów. Wygrała! Została prorektorem do spraw kształcenia. Zaszczyt i honor, ale nie wiedziała jeszcze, że będzie to jeden z najtrudniejszych okresów w jej karierze zawodowej. Nie wiedziała, że za parę miesięcy w Polsce ogłoszony zostanie stan wojenny.

*- To był bardzo trudny okres. Moje doświadczenie życiowe, obóz, więzienie w Niemczech, mąż siedem lat w więzieniu – to było chyba przygotowanie... Byłam zahartowana w obcowaniu z przeciwnościami – mówiła mi pani Profesor.*

Sercem i umysłem popierała idee głoszone przez “Solidarność”, chciała zmian, rozumiała studentów włączających się w nurt życia politycznego, które w istotnej części toczyło się na ulicach. Ale jednocześnie czuła się odpowiedzialna za młodzież. Obawiała się, że represje niepokornych w stanie wojennym mogą wypaczyć los co bardziej emocjonalnie działających studentów. Nie raz, nie dwa przyszło Jej nadstawić głowę, uciekać się do forteli, korzystać z prywatnych znajomości, aby chronić młodych ludzi przed represjami, aby im pomagać. W tych potyczkach wspierali Ją inni odważni i odpowiedzialni pracownicy naukowci Politechniki.

Sylwester 1981 roku. Mróz, śnieżyca, czołgi i posterunki przy ogniskach na rozstajach dróg. Pani Profesor, wraz z mężem, jedzie do Strzebielinka. Tu od kilkunastu dni przebywają internowani działacze opozycji. Są też studenci Politechniki – działacze NZS, z przewodniczącym tej organizacji Jerzym Kobylńskim.

*- Chciałam ich odwiedzić, zobaczyć co tam się dzieje, pocieszyć i dać sygnał, że władze uczelni nie pozostawią ich bez pomocy – tłumaczyła mi Marianna Sankiewicz.*

Do pawilonów, w których przebywali internowani, doszła na piechotę, bo śnieg uniemożliwiał dojazd. Kierownika obozu - wychowawcę z WSWF, w randze kapitana -prosiła, żeby pozwolił na widzenie ze studentami. Nic z tego, nie pozwolił. Obiecał jednak, że o odwiedzinach pani prorektor powie internowanym studentom PG.

Po pewnym czasie ponownie zawitała w obozie.

*- Dziś pan mi ich chyba wyda? – zagadnęłam kapitana. - Bo oni tu siedzą bez sensu, nic nie zrobili, nie są groźni...*

Wychowawca tym razem wpuścił Ją na widzenie.

*- Coś zawsze przywoziłam ze sobą, jakąś żywność, słodycze, środki czystości – wspomina docent Sankiewicz. - Rozmawiałam wtedy chyba z godzinę. Chłopcy mieli się dobrze, byli silni psychicznie. Kiedy wychodziłam z obozu kapitan powiedział do mnie: - “Pani mówi, że to tacy przyzwoici obywatele, a każdy z nich ma w klapie opornik.. - Oni wszyscy skończyli Technikum Łączności i na znak tego noszą oporniki – odpowiedziałam. – “ Ja wiem dlaczego noszą...” – uśmiechnął się. Nie wypuścił*

*studentów, bo nie mógł. Siedzieli jeszcze parę miesięcy.*

Okres stanu wojennego obfitował w Gdańsku w różne działania opozycji demokratycznej, w które włączała się młodzież studencka. A to demonstracja pod Pomnikiem Poległych Stoczniovców, to zgromadzenie pod pomnikiem Sobieskiego, a to jakaś akcja podczas pochodu pierwszomajowego. Złapanych studentów wsadzano do aresztu, przepuszczano przez tzw. "ścieżkę zdrowia", czyli przez szpaler pałujących milicjantów, oskarżano, usiłowano wymusić skreślenia z listy słuchaczy PG. Determinacja władzy stanu wojennego była duża, szczególnie w pierwszym okresie, w 1982 roku.

- *Gdyby pani rektor skreśliła stu studentów, to uratowałyby tysiąc innych* – powiedział na odprawie politycznej generał Mieczysław Cygan, wówczas wojewoda gdański.

- *To są metody frontowe - panie generale - ja mam inne doświadczenia i sposoby działania ...* – odpowiedziała.

Generał Jerzy Andrzejewski, wtedy szef wojewódzki milicji, powiedział Jej kiedyś:

- *Jest pani odważna.*  
- *Co to znaczy odważna? Jak bomby spadały na głowę, wtedy można było się bać. Albo na procesie męża w latach czterdziestych, bo mógł dostać karę śmierci – ripostowała.*

- *Dwa razy w życiu chyba nawiedził mnie Duch Święty... – zamyśla się pani Profesor.. – Raz, kiedy odwiedzałam przyszłego męża w więzieniu. Wigilia. Zimno, wywożą trumny, nie wpuszczają. Odmówili widzenia, chociaż wcześniej obiecywali. Napisałam do naczelnika podanie. Czekałam do wieczora na decyzję. Naczelnik wezwał mnie do siebie. I wtedy oświeciła mnie "siła wyższa". - Wyjeżdżam do Moskwy na dwa lata na stypendium naukowe... Chcę się pożegnać z narzeczoną - powiedziałam. Udało się, pozwolił. Po raz drugi oświecenie przyszło właśnie w stanie wojennym. W Starogardzie Gdańskim przetrzymywali 36 aresztowanych studentów Politechniki. Chciałam nie tylko odwiedzić swoich chłopaków, ale i przekazać im dary, jakie hojnie ofiarowywał dla naszych studentów ksiądz Henryk Jankowski. Prałat dawał wtedy Politechnice miesięcznie po 5 – 6 ton żywności do stołówek. Ponieważ funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa naciskali na skreślanie niepokornych studentów, powiedziałam gen. Andrzejewskiemu, że regulamin nie pozwala, aby skreślić studentów decyzją SB, bowiem musi tego dokonać uczelniana komisja dyscyplinarna, która wcześniej powinna ich przesłuchać. Generał Andrzejewski dał zgodę na wyjazd komisji do więzienia.*

Do Starogardu pojechała z profesorem Wojciechem Sobczakiem, ówczesnym dziekanem Wydziału i starszym wykładowcą Władysławem Buczkowskim, kierownikiem katedry na Wydziale Architektury. Wcześniej udzielił Jej konsultacji prawnej mecenas Jacek Taylor, związany z opozycją demokratyczną. Samochód załadowany został żywnością, czekoladami, owocami, konserwami itp. Zabrano też szczoteczki do zębów, pasty i mydła, papierosy i kawę. Kawę z myślą o... pracownikach więzienia. To by się teraz nazywało: "łapówka".

- *Do więziennego strażnika powiedziałam bez zmrużenia oka: dzień dobry, jesteśmy ze służby bezpieczeństwa Politechniki Gdańskiej* – wspomina doc. Marianna

Sankiewicz. – *Chcemy przesłuchać aresztowanych studentów. Mundurowy zaprowadził nas do naczelnika więzienia. Prosiłam o rozmowę ze wszystkimi studentami, bez strażnika. Zgodził się. Liczyłam się jednak z tym, że będziemy podsłuchiwani.... Weszliśmy, wraz z bagażem darów. Po drodze obdarowywaliśmy kawą wychowawców. Pocieszałam chłopców, mówiłam o działaniach władz PG na rzecz ich uwolnienia, uspokajałam, że nie będą relegowani. Niektórzy mniej zahartowani studenci płakali. Prosiłam, aby opanowali emocje i nie uciekali się do żadnych aktów demonstracji. Po pewnym czasie udało się ich wszystkich wyciągnąć z aresztu.*

Wydarzenia stanu wojennego i kilku następnych lat raz po raz nękały władze Politechniki. Rektor, profesor Jerzy Doerffer, unikał w miarę możliwości narażania autorytetu Uczelni oraz zniżania się do roli negocjatora i partnera władz politycznych, administracyjnych oraz milicji w rozwiązywaniu sytuacji konfliktowych, w jakie popadali studenci.

- Pani się lepiej zna na sprawach studenckich – mówił do swojej zastępczyni.

Również ówczesny I sekretarz partii na Politechnice, doc. dr inż. Zbigniew Kowalski, stronił od tego rodzaju kontaktów. W tej sytuacji Mariannę Sankiewicz, prorektora do spraw kształcenia, obarczono obowiązkiem utrzymywania bieżących kontaktów z władzami.

Narady w Urzędzie Wojewódzkim odbywały się systematycznie. Z jednej strony przedstawiciele uczelni Trójmiasta, z drugiej Stanisław Bejger - I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego partii, generał Mieczysław Cygan - wojewoda gdański, generał Jerzy Andrzejewski – szef milicji i SB, oraz inni dygnitarze. Ci pierwsi zdawali sprawozdania z aktualnej sytuacji w środowisku akademickim. Drudzy pytali o szczegóły sytuacji znanych sobie z relacji SB i milicji, radzili, pouczali, nakazywali.

- *To nie były miłe rozmowy – wspomina pani Sankiewicz. – Stanisława Bejgera znałam jeszcze z lat pięćdziesiątych. Na którejś z narad powiedział do zgromadzonych notabli: - “Pani rektor była inżynierem, kiedy ja byłem w radiu gońcem...” Był do mnie życzliwie nastawiony. Ta znajomość pozwoliła mi załatwić parę spraw.*

1 maja, po pochodzie, z okna swojego mieszkania przy ul Fiszera pani Profesor widziała, jak w okolicy budynku przy ul. Do Studzienki 17 milicyjna “suka” zabrała czterech studentów, którzy szli do akademików. Widzieli to też inni studenci, którzy spisali numer samochodu i natychmiast zawiadomili panią Prorektor. Okazało się, że aresztowano czterech dyplomantów. Pani Docent natychmiast podjęła interwencyjne rozmowy na temat tego incydentu.

- *Kazali mi relegować dyplomantów, bo – twierdzili milicjanci - ci chłopcy pobili funkcjonariuszy na Dworcu PKP w Gdańsku – przypomina Marianna Sankiewicz. – Wyjaśniałam tę sprawę w milicji, powoływałam się na to, że widziałam tę sytuację na własne oczy - bez skutku. Wtedy poszłam do pana Bejgera. On wiedział, że nie kłamię. Po dłuższej rozmowie powiedział mi: - “Proszę przygotować na jutro raport w tej sprawie dla generała Milewskiego, który jutro przyjeżdża do Gdańska.” To był wtedy człowiek odpowiedzialny na szczeblu centralnym za milicję i SB. Przygotowałam, i następnego dnia pojechałam, tym razem wraz z rektorem prof. Jerzym Doerfferem, na rozmowę. Milewski był w cywilnym ubraniu, a rozmowa była, można rzec, dystyngowana. Niemal na powitanie powiedział: - “Przejawiamy tyle*



*troski o młodzież, a ona jest taka niewdzięczna.” Rektor odpowiedział: - “Mamy łatwość dotarcia do studentów, jeśli mówimy prawdę. Prorektor Sankiewicz sporządziła raport o zaistniałej we Wrzeszczu sytuacji.” Wręczyłam raport, dodając że mieszkam tam, i widziałam wszystko osobiście, a więc tych studentów na dworcu nie było. Wieczorem zadzwonił do mnie Stanisław Bejger: - “Proszę jutro odebrać studentów” - powiedział. Jednak przy okazji odbierania studentów milicjanci odegrali się, przetrzymując mnie przez cztery godziny pod aresztem, wściekli, że wygraliśmy tę sprawę. W końcu chłopców wypuścili, ale zmalretowanych psychicznie. Przywiozłam ich na posiedzenie Senatu oraz pokrzepiłam obiadem.*

Pomimo napięcia politycznego lat osiemdziesiątych życie na Uczelni toczyło się na ogół normalnie. Oczywiście, studenci chodzili na wykłady i ćwiczenia, zaliczali kolokwia i egzaminy, niektórzy pobierali stypendia i dorabiali w “Techno-Service”, przeżywali miłości i pobierali się, otrzymywali dyplomy i szykowali się do dorosłego życia. Trwały prace badawcze, robiono doktoraty i habilitacje, reorganizowano struktury, doskonalono wyposażenie aparaturowe. Najważniejszym zadaniem inwestycyjnym Politechniki był akademik, “dwójka”. Ten problem należał do kompetencji pani Profesor. W pewnym momencie wstrzymano dopływ pieniędzy na kontynuowanie budowy.

- *Władze “grały” tym akademikiem w konflikcie z niepokornymi studentami naszej uczelni – mówi docent Sankiewicz. – Kiedyś powiedziano mi tak: - “Jeśli studenci przyjdą na pochód pierwszomajowy, to pieniądze będą...” Nie poszli. Klapa. Cóż było robić? Zaprosiłam wojewodę Cygana na spotkanie do akademika. – “Wolałbym rowy kopać, niż spotykać się z tą niesforną młodzieżą”... – powiedział. Ale przyszedł. I to bez obstawy. Jemu też, podobnie jak nam, chodziło o ocieplenie stosunków między władzą a młodzieżą studencką. Prosiłam chłopaków, aby zachowywali się przyzwoicie, bo waży się kwestia pieniędzy na dokończenie “dwójki”. Nie posłuchali. Kiedy wojewoda zasiadł już na sali, ktoś zgasił światło, a ktoś inny zawołał: - “Kto pana tu zaprosił?” Zdrętwiałam. Ale gen. Cygan wytrzymał napięcie: - “Nie przyszliście na pochód, to ja przyszedłem do was”... Potem spotkanie przebiegało już w łagodniejszym nastroju. Całe swoje doświadczenie życiowe i sporo sił zaangażowałam dla ochrony studentów przed dolegliwościami tego okresu, a nade wszystko represjami, które mogłyby złamać im życie.*

Stan wojenny był dla wielu próbą charakterów i postaw. Niektórzy przeszli ją szlachetnie, inni tracili twarz. Byli tacy, którzy mówili po kątach, że najpierw Doerffer i Sankiewicz powodują wsadzanie studentów do więzienia, a potem – działając “pod publiczke” – wyciągają ich... Ktoś donosił I sekretarzowi partii w uczelni, że pani Profesor “rozmiękcza studentów politycznie”, inny “kablował”, że Prorektor jeździ do związanego z “Solidarnością” prałata Jankowskiego po żywność dla studentów... Sekretarz wysłuchiwał donosów, ale miał swoje własne zdanie.

- *Przetrwaliśmy ten trudny okres – podkreśla po latach pani Profesor – dzięki I sekretarzowi Komitetu Uczelnianego PZPR, profesorowi Zbigniewowi Kowalskiemu. To on pomagał nam we wszystkim i osłaniał, jak mógł. Będąc członkiem KC, miał autorytet i siłę. Działał rozumnie i szlachetnie. Kiedy wprowadzano stan wojenny w wielu uczelniach zmieniono władze; w Politechnice Gdańskiej - nie. To dzięki niemu! - “Ja lepszej obsady na ten okres nie mógłbym znaleźć” – mówił władzom politycznym.*

*Ja nigdy nie należałam do żadnej partii, ale też nigdy nie dzieliłam ludzi na partyjnych i bezpartyjnych. Uważam, że każdy przyzwoity człowiek jest poniekąd lewicowcem. Co to znaczy? To, że jest prospołeczny, że patrzy w jaki sposób może coś dać, coś zrobić dla innych? A znam bardzo wielu bezpartyjnych, którzy robili ogromne świństwa, myśląc tylko o swojej karierze i korzyściach osobistych.*

W 1982 r. na elektronice powołano Zakład Inżynierii Dźwięku, który prowadził badania z dziedziny inżynierii dźwięku i kształcił specjalistów. To była nowość w krajowych uczelniach. Warszawska Akademia Muzyczna przygotowywała dotąd realizatorów od strony muzycznej. Ale wiele kwestii technicznych wykraczało poza program i możliwości tej uczelni. W ślad za Gdańskiem poszła krakowska AGH, a także Politechnika Wrocławska. W Politechnice Gdańskiej badania i kształcenie miały szerszy profil: technika studyjna radia, potem też obrazu (TV), jeszcze później weszły też techniki multimedialne. Roboczy kontakt naukowców i studentów z gdańskim radiem pozwalał korzystać z coraz nowocześniejszego sprzętu.

Kierownikiem Zakładu był w tamtych latach doc. dr inż. Gustaw Budzyński, wraz z którym – równolegle do wypełniania obowiązków prodziekana - prowadziła badania naukowe i zajęcia dydaktyczne ze studentami pani Profesor.

*- Rozwijaliśmy z mężem m.in. badania akustycznych właściwości instrumentów muzycznych – mówi Marianna Sankiewicz. – Interesowały nas zwłaszcza organy i dzwony. Badaliśmy również problematykę akustyki wnętrza, techniki studyjnej oraz systemów mikrofonowych, systemów dookólnego nagłaśniania, analizy dźwięku i pokrewnych zagadnień. Wyniki tych badań wprowadzaliśmy do dydaktyki oraz prezentowaliśmy na międzynarodowych konferencjach.*

Kiedy w latach siedemdziesiątych wchodziła do techniki radiowej stereofonia, gdańska rozgłośnia urządziła swoje studio w Politechnice, w gmachu Elektroniki. Staraniem m.in. pani Profesor (która niezmiennie od wielu lat utrzymywała roboczy kontakt z Polskim Radiem – w roli konsultanta), wyposażono je bardzo nowocześnie. Włodzimierza Sokorskiego, ówczesnego szefa radiokomiteu, przekonała do zakupu profesjonalnego magnetofonu czterośladowego, który dawał zupełnie nowe możliwości. Na tej nowej aparaturze odbywały się zajęcia dydaktyczne oraz nagrywano audycje dla programu Polskiego Radia i TV. Studenci asystowali w nagraniach, robili prace dyplomowe. Korzystało i Radio, i Uczelnia.

Wtedy to w politechnicznym studiu nagrań rozpoczął pracę Ryszard Bielawski, technik zatrudniony w Radiu Gdańsk. Znalazł tu sprzyjający klimat do podjęcia dalszego kształcenia się; zdobył inżynierski dyplom. Od ponad dwudziestu lat jest prezesem zarządu i dyrektorem naczelnym firmy Telkom-Telmor w Gdańsku. Cechuje go talent organizacyjny i łatwość kontaktu z ludźmi, zwłaszcza ze swymi pracownikami. Jego firma zaś wielokrotnie sponsorowała zagraniczne wyjazdy studentów elektroniki. Ryszard Bielawski zaliczany jest do grona najwierniejszych przyjaciół Wydziału.

*- Jednym z pierwszych naszych doktorantów w Zakładzie, jeszcze w końcu lat siedemdziesiątych, był Grek, Giorgios Papanikolaou – mówi doc. Marianna Sankiewicz. - Czasem trudny, czupurny, ale niezwykle zdolny muzycznie i technicznie. Dziś jest profesorem na Uniwersytecie w Salonikach. Jesteśmy w kontakcie, spotykamy się na międzynarodowych konferencjach. W 1977 roku zabraliśmy go z sobą do*

*Paryża, na sesję światowego Festival du Son. Prezentacja przezeń nowego tetrafonicznego systemu transmisji dźwięku odniosła wielki sukces, a realizacja koncertu organowego w Katedrze Oliwskiej została wtedy odtworzona w godzinnej audycji na antenie France Musique.*



Przed gmachem rektoratu Uniwersytetu w Salonikach: Gustaw Budzyński, Marianna Sankiewicz i profesor Giorgos Papanikolaou, organizator Kongresu FASE, w którym gdańscy naukowcy uczestniczyli dzięki umowie o współpracy obu uczelni. (1985)

*audycji na antenie France Musique.*

Specjalizacja Elektrofonii, a potem Inżynierii Dźwięku cieszyła się na elektronice wzięciem wśród studentów. Preferowano na tę specjalizację kandydatów z przygotowaniem muzycznym.

*- Andrzej Brzoska. Zna pan? Dziś jest znakomitym realizatorem dźwięku w Teatrze Polskiego Radia – wspomina pani Profesor. – Zanim przyszedł na elektronikę, studiował w wyższej szkole muzycznej. Kiedy trafił do nas na specjalizację, namówiłam go na wzięcie urlopu dziekańskiego i dokończenie szkoły muzycznej. Posłuchał. Jest teraz fachowcem najwyższej klasy. Marek Szczerba przed elektroniką też skończył studia muzyczne. Trafił potem na inżynierię dźwięku. Bardzo zdolny. Po dyplomie pracował na Wydziale. Zrobił doktorat. Potem otrzymał stypendium w Japonii. Dziś pracuje w Eindhoven. Jest tam wysoko cenionym specjalistą.*

Istotnym krokiem rozwojowym lat 80-tych było podjęcie prezentowania osiągnięć naukowych Zakładu Inżynierii Dźwięku na corocznych Konwencjach AES

(Audio Engineering Society - światowego towarzystwa naukowego z siedzibą w Nowym Jorku, zajmującego się inżynierią dźwięku). Autorzy pierwszych prezentacji uzyskali członkostwo AES i stały kontakt ze światowym postępem w tej dziedzinie. Co więcej, w roku 1991 z inicjatywy Zakładu powołano w Gdańsku polską sekcję AES. Docent Marianna Sankiewicz została jej pierwszą przewodniczącą.



Dzięki współpracy z Polskim Radiem studenci Inżynierii Dźwięku korzystali w laboratoriach z profesjonalnej, nowoczesnej wtedy aparatury studyjnej. (1993)

W cztery lata później wysunięto Jej kandydaturę do Zarządu Głównego AES. W wyniku bezpośredniego głosowania w całej organizacji, została wybrana na dwuletnią kadencję na funkcję wiceprezydenta AES ds. Europy centralnej, nadzorującego działanie sekcji AES na terenie Niemiec, Szwajcarii, Austrii, Czech, Słowacji, Węgier, Polski, Rosji (Moskwa) oraz Izraela. Zorganizowała i powołała do życia nowe sekcje: na Litwie, Ukrainie, Białorusi i Rosji (Petersburg), a także nowe sekcje studenckie w tych krajach. Za tę działalność w 1998 roku otrzymała honorowy dyplom.

Na jednej z kolejnych AES Conventions, w 2005 roku, w

Barcelonie, pani Profesor otrzymała kolejne uhonorowanie: tym razem dyplom Fellow Member of the AES za wybitne osiągnięcia dla AES oraz wyjątkowo skuteczną działalność edukacyjną w tej dziedzinie. W ten sposób Zarząd Główny AES docenił m.in. udział licznych polskich studentów i młodych adeptów nauki w corocznych Conventions i w powiązanej z tym działalności profesjonalnej.

Pani Profesor zawsze cieszyła się zaufaniem studentów. Jej spokój, uśmiech, brak pośpiechu i okazywane zainteresowanie przedstawianym przez młodych ludzi problemem rozluźniało rozmówców, a czasem skłaniało do najskrytszych zwierzeń. Pamięta przypadek, jaki wydarzył się w latach siedemdziesiątych. Doniesiono Jej, że pewien student elektroniki podjął w akademiku próbę samobójczą. Obiegowy komentarz mówił, że młody człowiek nie wytrzymał psychicznie wysokich wymagań, jakie stawiano na Wydziale. Odratowano go, zabrano do szpitala. Kiedy wrócił do zdrowia, pani Prodziekan zaprosiła go na rozmowę. Przyszedł. Jak musiała przebiegać ta rozmowa, skoro młody człowiek odważył się zdradzić pani Profesor swój najintymniejszy sekret? Wyznał, że przyczyną targnięcia się na życie był brak swojej akceptacji dla dominujących w nim skłonności homoseksualnych.

*- Zawsze interesowała mnie psychologia, człowiek – mówi Marianna Sankiewicz . - Przez lata nauczyłam się rozpoznawać cechy charakteru młodych ludzi po krótkiej rozmowie. A najbardziej interesujący dla mnie byli ci agresywni, tacy ściśnięci, szukający powodu, żeby wybuchnąć. Człowiek na ogół nie rodzi się z agresją. To zdarzenia nas kształtują. Pies, który nie był bity, nigdy nie ugryzie... Większość z tych agresywnych miała jakiś kompleks. Tylko trzeba było rozpoznać na jakim to tle. Na studiach ujawniają się jeszcze różne niedojrzałości i kompleksy młodzieży. Ale zdarza się, że na uczelnię trafiają także ludzie chorzy. Na przykład schizofrenicy. Pamiętam kilku takich, to bardzo zdolni ludzie, ale ich agresja miała podłoże chorobowe. Pięciu z nich uzyskało u nas dyplomy.*

Również ten, którego pani Profesor zapamiętała najbardziej.

Któregoś dnia, wracając do domu, zauważyła go siedzącego na ławce nieopodal Jej domu. Wydawał się zamyślony. Zagadnęła, bo był to Jej dyplomant. Powiedział, że jest bardzo głodny. Zaprosiła do swojego mieszkania, nakarmiła. W pewnym momencie weszła do łazienki. Usłyszała stamtąd, że on zamknął drzwi wejściowe do mieszkania na łańcuch. Wybiegła do przedpokoju i zobaczyła go - stojącego w drzwiach pokoju z grymasem na twarzy i z... nożem w ręku. Zagaiła więc przyjaźnie, wywabiła z drzwi i - choć z trudem - udało się nakłonić go do wyjścia z mieszkania razem na ulicę.

Następnego dnia dowiedziała się, że w przeddzień tego wydarzenia chory student powiedział kolegom z akademika, aby kupili kwiaty, bo... niebawem będzie pogrzeb pani Sankiewicz. Sądził, że to głupi żart... Młody człowiek wylądował w szpitalu pod Bydgoszczą. Potem trafił do szpitala na Srebrzysku. Promotorka postanowiła doprowadzić go do dyplomu. Chodziła do niego na konsultacje. W rozmowach nigdy nie powracali do dramatycznego incydentu. W wyniku Jej starań, miał w szpitalu swój pokój, pisał pracę; pierwszą podarł, potem napisał następną. Przed komisją bardzo dobrze odpowiadał. Znalazł zatrudnienie w zawodzie. Pół roku był dobrym pracownikiem, a pół chorował.

Sylwetka pani Profesor byłaby dalece niepełna, gdybym nie wspomniał o tym, że "etatowe" kontakty ze studentami w uczelni nie wyczerpywały Jej determinacji do niesienia pomocy innym, szczególnie ludziom młodym. – *Inwestowanie w młodzież, to kapitał* – mawia Marianna Sankiewicz. Więc "inwestowała" wielokrotnie, zresztą robi to do dziś.

"Matkowała" wielu młodym ludziom - z różnych stron i środowisk - niektórzy

zamieszkiwali przez wielomiesięczne okresy pod Jej dachem. Jedni studiując, inni uczęszczając dopiero do szkoły średniej. Pomagała im finansowo, chodziła na wywiadówki. Jej podopieczni i podopieczne - wszyscy ukończyli studia. Pani Profesor ma więc satysfakcję, że inwestycja w młodzież się opłaciła... Wśród tej młodzieży byli i są nadal także obcokrajowcy, zwłaszcza z Afryki

Dzień naszej rozmowy był słoneczny, popołudnie. W gmachu Elektroniki i przed nim jeszcze spory ruch, studenci wchodzą i wychodzą, rozmawiają w grupkach. Dobiegają nas strzępki wulgarnej rozmowy dwóch dziewcząt.

Pani Profesor kręci głową.

*- Słyszał pan, jak oni teraz rozmawiają? Rynsztok. Czasem zwracam im uwagę. Chłopcy najczęściej przepraszają, ale dziewczęta bywają bardziej zuchwale. Zdarzało się, że usłyszałam wiązankę... Zmienia się technologia życia, w domu nie ma czasu na rodzinne rozmowy, przyjaciółkę zastępuje kumpelka, listy - SMS-y, a w telewizji dominuje płaska komercja. Czasami myślę, że przestaję tę współczesną młodzież rozumieć...*

Zauważam, że mało który z przechodzących studentów mówi pani Profesor "dzień dobry". Osoba anonimowa? Odkąd jest na emeryturze, kontaktuje się już jedynie z nieliczną grupą młodzieży. A na Wydziale studiuje teraz kilka tysięcy studentów, kiedy w latach sześćdziesiątych np. było ich kilkuset. Społeczność akademicka staje się coraz bardziej anonimowa. Coraz mniej zintegrowana. W uczelni nie są widoczne organizacje studenckie, młodzi nie spotykają się w stołówkach, bo je zlikwidowano, coraz więcej przyjezdnych studentów wynajmuje kwatery poza akademikiem, bo to tańsze. A kultura studencka jest w głębokiej zapaści. Wszyscy – i nauczyciele akademicy, i młodzież – są zabiegani, zmotywowani do szybkiego osiągnięcia celu, nastawieni na prywatność, na konsumpcję.

*- W nauczaniu i wychowywaniu bardzo liczy się bezpośredni kontakt mistrza i ucznia – uważa Marianna Sankiewicz. – Szkoda, że dziś już w uczelniach nie ma warunków do kształtowania takich relacji. Współczesna technologia kształcenia – prowadzona w coraz lepszych warunkach lokalowych i aparaturowych – nastawiona jest na "masową produkcję" inżynierów. Coraz mniej jest miejsca na przekazywanie młodzieży wartości, na dialog mistrza i ucznia. Nawet egzaminy ustne stają się rzadkością, bo nie ma na nie czasu. A przecież dają one najlepszą możliwość sprawdzenia, co student rzeczywiście potrafi, i poznania go. Uczelnia wyższa nie ma uczyć zamkniętych raz na zawsze umiejętności zawodowych, ale powinna kształtować osobowość młodego człowieka i dawać umiejętność zbierania oraz przetwarzania informacji, a przez to rozwiązywania problemów, jakie człowiek w życiu napotyka.*

I na tym właśnie – zdaniem pani Profesor - polega swoista inżynieria kształcenia.

*- Wyższym poziomem inżynierii kształcenia jest trudne zadanie przygotowania przyszłych kontynuatorów tej działalności. Pomyślnie spełnienie tego zadania przyniosło nam, to znaczy mnie i Gustawowi, największą życiową satysfakcję i wynagrodziło wszystkie trudy i wyrzeczenia, jakie ponosiliśmy kiedykolwiek na rzecz kształconych. Mamy więc obecnie dwoje znakomitych następców. Bożena Kostek i Andrzej Czyżewski już od piętnastu lat kierują specjalnością dydaktyczną Inżynieria Dźwięku i Obrazu oraz Katedrą Systemów Multimedialnych, wspianiale te placówki*

rozwinąwszy. Wspomagaliśmy ich rozwój na studiach, prowadziliśmy ich prace dyplomowe i doktorskie, doradzaliśmy w habilitacjach i awansach. Dziś oboje są profesorami o światowej renomie i niezwykle aktywnym udziale w krajowej i międzynarodowej działalności naukowej. Cieszą nas ich osiągnięcia naukowe, a zwłaszcza radują wyniki w kształceniu następnych pokoleń młodych adeptów inżynierii dźwięku i obrazu. Z wielką więc przyjemnością odwiedzamy "naszą" Katedrę; czujemy się tam zawsze mile widziani i patrzymy z podziwem na trwającą tam stale intensywną i owocną pracę.



Andrzej Czyżewski i Bożena Kostek (kierujący obecnie pracami Katedry Systemów Multimedialnych) oraz Marianna Sankiewicz w Ratuszu Głównomiejskim Gdańska słuchają referatu Gustawa Budzyńskiego. (1993)

Kto raz próbował umówić się na spotkanie z panią Profesor, ten wie, że nie jest to łatwe. Mimo statusu emeryta, Marianna Sankiewicz jest bardzo aktywna i zajęta. A to wyjazd do Warszawy, a to spotkanie na Wydziale, to znów posiedzenie zarządu wspólnoty mieszkaniowej, której prowadzi, innym razem spotkanie z zaprzyjaźnionym absolwentem lub z gościem z zagranicy. Energii i radości życia można jej tylko zazdrościć.

- *Życie zawodowe miałam bardzo utrudnione – mówi o sobie. – Przez wiele lat byłam "naznaczona" politycznie ze względu na życiorys męża. Wiele razy podkopywano pode mną dołki. Ale mimo różnych przykrości, które mi sprawiano, jestem człowiekiem spełnionym i szczęśliwym. Praca wśród młodzieży - wyselekcjonowanej, na wysokim poziomie - daje dużo satysfakcji. Moje osiągnięcia zawdzięczam przede wszystkim studentom. Ich akceptacja w dydaktyce i pracach edukacyjnych pozwalała mi na wieloletnie funkcjonowanie. Takiej młodzieży jak ja, to nie ma nikt na*



Studenckie laboratorium wyjazdowe w... Paryżu. Na dziedzińcu Ecole Polonaise przy ul. Lamande znajduje się tablica poświęcona pamięci Polaków poległych za Francję; m.in. widnieje na niej kilkakrotnie nazwisko Budzyński. (2000)



Studenckie laboratorium wyjazdowe w... Paryżu; przed Pałacem Kongresowym, gdzie m.in. odbywały się zajęcia warsztatowe 108<sup>th</sup> AES Convention. (2000)

*świecie...*

Doc. dr inż. Marianna Sankiewicz ma w dorobku naukowym ponad 130 prac autorskich i współautorskich, wiele referatów i prezentacji na krajowych oraz międzynarodowych konferencjach naukowych, a szereg prac badawczych, przeprowadzonych z Jej udziałem, znalazło zastosowanie w praktyce. Uhonorowana

została licznymi odznaczeniami i medalami – państwowymi, resortowymi, samorządowymi i zagranicznymi. Ale najlepsze świadectwo Jej dokonaniom w dziele kształcenia dają zastępy studentów, którzy mieli okazję zetknąć się z panią Profesor w 60-letnim okresie Jej aktywności zawodowej.

Co o swojej “cioci” myślą po latach? Jak Ją wspominają?

W 2002 roku, z okazji 50-lecia Wydziału, ukazała się publikacja książkowa pn. ”Forum Absolwentów”. Składała się wyłącznie z tekstów napisanych przez byłych studentów Wydziału. Wielu z nich poświęciło sporo miejsca osobie pani Profesor. Zacytuję jednego z wspominających, Wojciecha Myszkiewicza:

*“Wielki człowiek o wspaniałym sercu, pedagog i przyjaciel wielu roczników studentów. Kto na swojej drodze spotka takiego człowieka, staje się lepszy. Pani doc. Marianna Sankiewicz, dobry duch Wydziału Elektroniki, osoba, która przez wszystkie lata jest obecna w murach tej uczelni i której osobiście zawdzięczam bardzo dużo. (...) Bezinteresowność, siła charakteru, wielki autorytet, wspaniałe serce - czy są jeszcze tacy ludzie, którzy dają tyle co Pani Sankiewicz dawała i daje innym?”*

Paweł Janikowski  
Gdańsk, lipiec 2007 r.

\* \* \*